

WSZYSTKO POD KONTROLĄ

**O INWIGILACJI ZACHODNICH KORESPONDENTÓW
Z KRZYSZTOFEM BOBIŃSKIM, BERNARDEM
MARGUERITTE'EM I KRZYSZTOFEM PERSAKIEM
ROZMAWIA BARBARA POLAK**

B.P. – Chcemy rozmawiać o inwigilacji przez peerelowskie służby specjalne cudzoziemców, przede wszystkim dziennikarzy. Warto pamiętać, że na początku Peerelu obcych dziennikarzy było bardzo niewielu, a służby i tak miały pełne ręce roboty, bo w ich pojęciu szpiegiem był absolutnie każdy obcokrajowiec. Potencjalnymi szpiegami byli także powracający z różnych miejsc po wojnie Polacy – repatrianci, żołnierze, jeńcy wojenni, przesiedleńcy, nawet więźniowie z obozów koncentracyjnych i przymusowi robotnicy.

K.P. – Jeszcze tytułem wstępu. Wbrew nazwie kontrwywiad po 1956 r. zajmował się nie tylko zwalczaniem obcych wywiadów. Moje badania dotyczą okresu sprzed panów pobytu w Polsce, ale myślę, że mechanizmy działania były podobne przez kolejne lata. Kontrwywiad był po prostu częścią Służby Bezpieczeństwa, czyli częścią policji politycznej, i zajmował się także inwigilacją cudzoziemców, czyli operacyjną kontrolą wszystkich dziedzin, w których występował tak zwany styk z zagranicą. Interesowali go przede wszystkim cudzoziemcy przebywający w Polsce, od studentów, stypendystów, przez handlowców, po różnego rodzaju specjalistów oraz dyplomatów. W stosunku do dyplomatów kontrwywiad zajmował się także działalnością *sensu stricte* wywiadowczą, ponieważ dokonywał penetracji ambasad. Kontrwywiad zajmował się także takimi sprawami, jak zwalczanie przemytu międzynarodowego na wysoką skalę, utrudnianie ucieczek z Polski itd. Trzeba też podkreślić, że wbrew mitom, które ostatnio usiłuje się upowszechniać, kontrwywiad był częścią SB aż do końca lat osiemdziesiątych, *de iure* – zarówno Departament I, jak i II wywiadu MSW były częścią SB. Pod koniec lat osiemdziesiątych dokonano formalnego podziału MSW na Służbę Bezpieczeństwa, Służbę Wywiadu i Służbę Kontrwywiadu. To była tzw. reforma Kiszczaka, ale przeprowadzono ją tylko na papierze. Faktycznie nadal były to zintegrowane służby.

B.P. – Kiedy i w jakich okolicznościach pojawili się panowie w Polsce i jakie było to pierwsze zetknięcie się z Peerelem?

B.M. – Pierwsi – Anglicy, jak na bitwie.

K.B. – Urodziłem się w Anglii, przyjechałem do Polski jako chłopak, po raz pierwszy byłem u rodziny, gdy miałem dwanaście lat. Potem w 1972

czy 1973 r., już po studiach, starałem dostać się do polskiej sekcji BBC w Wielkiej Brytanii. Wtedy okazało się, że moja znajomość polskiego jest niedostateczna, żeby tłumaczyć czy mówić do mikrofonu. Pomyślałem, że przyjadę do Polski i postaram się poprawić mój język. Potem w 1974 r. dostałem stypendium do Polskiej Akademii Nauk na dwa lata, w dziedzinie historii. Byłem u prof. Ryszki i starałem się dowiedzieć, w jakich warunkach funkcjonowała inteligencja we Lwowie w latach 1939–1941, a także, porównawczo, w latach 1945–1946. Było to dla mnie dość wyszukane i chyba za trudne, niewiele z tego wyszło, choć sporo przeczytałem na te tematy. Zaprzyjaźniłem się wtedy z Ludwikiem Zimmererem, korespondentem niemieckiego radia, u którego bywałem bardzo często. Wziął mnie trochę pod swoje skrzydła i sporo mnie nauczył. W 1976 r. uzyskałem akredytację dla „Financial Times”. To była wtedy jedyna gazeta londyńska, która była zainteresowana posiadaniem korespondenta w Polsce, ponieważ Polska pożyczyla sporo pieniędzy i oni uważali, że ktoś tu powinien być. To był marzec 1976 r. i odtąd do 2000 r. pisałem o Polsce dla „Financial Times”.

B.M. – W moim przypadku to jest dość romantyczna historia. W Polsce znalazłem się po raz pierwszy w 1959 r. Byłem studentem i mój ojciec (jako pierwszy w naszej rodzinie był związany z Polską – był oficerem, potem walczył w ruchu oporu i był łącznikiem z armią Andersa, za co zaraz po wojnie dostał *Virtuti Militari* i Krzyż Walecznych), który zajmował się wymianą młodzieży, zadzwonił do mnie, gdy byłem na wakacjach u dziadka w Normandii, i powiedział, że jest wyjazd na obóz letni do Polski, tam trzeba mówić o Francji, o kulturze francuskiej, ktoś zrezygnował w ostatniej chwili, wyjazd jest za tydzień, czy mnie to interesuje. 14 lipca 1959 r. wchodziłem do autobusu czekającego przed hotelem Grand w Warszawie. Tam było pięćdziesiąt dziewcząt z gimnazjum im. Żmichowskiej, które miały francuski jako język wykładowy. Jedna z tych pięćdziesięciu dziewcząt jest od wielu lat moją żoną.

Moje studia były zupełnie niezwiązane z Polską ani z dziennikarstwem, to były studia klasyczne na Sorbonie. Chciałem pracować w Polsce, aby być blisko Joanny, wtedy to nie było proste. Po powrocie i odbyciu służby wojskowej spotkałem się z dyrektorem „Le Monde” i powiedziałem, że chciałbym zostać korespondentem w Warszawie. To był rok 1965. Już w grudniu tego roku zostałem specjalnym wystannikiem na kilka tygodni. To był pechowy okres, wymiany listów między Episkopatami Polski i Niemiec. Chodziłem za ks. prymasem Wyszyńskim krok w krok, od ambony do ambony – to był jedyny sposób, żeby wiedzieć, co myślał Kościół. I pisałem o tym. Wróciłem i prosiliśmy znowu o akredytację. Pierwsza odpowiedź była negatywna – nie chcemy mieć korespondenta „Le Monde”. Ale dyrektor czynił nadal starania, tylko miał jedną prośbę: „Niech pan nie robi tego, co pana poprzednicy, obaj ożenili się z Polkami i obaj zostali wydaleny z Polski, więc proszę tego nie powtarzać”. Jako trzeci z kolei powtórzyłem tę historię, łącznie z wydaleniem.

K.P. – To taki, można powiedzieć, stały los korespondenta „Le Monde”, najpierw został wydalony Philippe Ben, potem Jean Wetz. Nic w tym szczególnie dziwnego, bo w 1956 r. Polska trafiła na czołówki światowych gazet, a do Warszawy zaczęli ściągać zagraniczni dziennikarze. Ze względu na znaczny stopień liberalizacji systemu Warszawa zyskała opinię miejsca, gdzie można zdobyć cenne informacje nie tylko o sprawach polskich, ale i o problemach innych państw bloku komunistycznego. Dlatego dziennikarze zagraniczni byli szczególnie interesującą grupą dla kontrwywiadu. Tym bardziej że z punktu widzenia kontrwywiadu prawie każdy dziennikarz zachodni był traktowany jako potencjalny szpieg, więc wszyscy stali korespondenci byli objęci sprawami ewidencyjno-obsługowymi przez Sekcję IV Wydziału VII Departamentu II MSW.

B.P. – Ponieważ kontrwywiad traktował swoją działalność również jako misję polityczną, musiał efekty swojej pracy przekazywać dalej.

K.P. – Rozpracowanie zagranicznych dziennikarzy i dyplomatów było kierowane w formie biuletynu „Informacje o działalności kapitalistycznych dyplomatów i dziennikarzy przebywających w Polsce” na biurka Władysława Gomułki, premiera Józefa Cyrankiewicza, ministra spraw wewnętrznych Władysława Wichy i wiceministra Mieczysława Moczara. A Gomułce dostarczano także *in extenso* ciekawsze korespondencje i materiały zdobyte drogą operacyjną.

B.M. – Byłem młodym, nieznanym człowiekiem, ale moje losy jako ewentualnego korespondenta rozstrzygały się na dość wysokim szczeblu. André Fontaine, który był szefem wydziału zagranicznego, przyjechał latem 1965 r. do Warszawy i rozmawiał z ministrem spraw zagranicznych, którym był Adam Rapacki, a potem spotkał się ze Stanisławem Staniszewskim, dyrektorem Departamentu Prasy i Informacji MSZ. Staniszewski powiedział mu: „Jutro pan redaktor ma spotkanie z panem Kliszko, to jest bardzo duży zaszczyt”. Fontaine mówi „Dobrze, ale czy będę mógł omówić sprawę Marguerittaé, którego nie chcecie akredytować?” Staniszewski się wściekł – ma pan możliwość spotkania się z drugim człowiekiem w państwie, są chyba ważniejsze tematy. Jednak rozmawiali o tym, i Kliszko powiedział, że są dwa powody odmowy, po pierwsze, że byłem na Śląsku i pisałem o separatyzmie śląskim, a po drugie, że byłem korespondentem przy Kościele, a my takiego nie chcemy, bo to państwo akredytuje. Na to Fontaine: „Czy pan nie sądzi, że pańska policja nieco przesadziła w tych raportach?” Kliszko powiedział wtedy: „Och, to też możliwe”. W ten sposób zostałem stałym korespondentem w Polsce w 1966 r.

K.P. – Chciałbym poprosić o podzielenie się własnymi doświadczeniami w tych kwestiach, które wynikają z moich badań. Jeśli chodzi o korespondentów zagranicznych, to SB interesowało przede wszystkim to,



Fot. AIPN

Fotografie operacyjne wykonane z ukrycia przez wywiadowców Biura „B” MSW.

kim są, ich sylwetki, skąd czerpią dochody, ich słabości, cechy charakteru, bo to oczywiście można było przeciwko nim wykorzystać. Jest rzeczą oczywistą, że zawód dziennikarza bywa przykrywką dla pracy wywiadowczej i to się zdarza, więc zainteresowanie korespondentami zagranicznymi jest naturalne, aczkolwiek w okresie, którym się zajmowałem – ośmiu lat po 1956 r. – nie dość, że nie wykryto pracy wywiadowczej prowadzonej przez jakiegoś stałego korespondenta zagranicznego, ale nawet nie pojawiły się takie podejrzenia. Celem tej inwigilacji było przede wszystkim przeciwdziałanie temu, co nazywano „dywersją ideologiczną”, czyli ujawnianiu na zewnątrz, poza Polską tego, co dzieje się w Polsce za kulisami życia politycznego. Kontrwywiad był także mocno zainteresowany tym, w jakim środowisku obracają się korespondenci, z kim się spotykają i kto ich informuje.

B.M. – Dobrze pamiętam dramatyczny rok 1968. Mieszkaliśmy wtedy na Mokotowie. Przyszli do mnie między innymi panowie Michnik i Szlajfer – że mają coś do powiedzenia, ale nie chcą tego mówić w budynku. Zaproponowali, żebyśmy wsiedli do samochodu. Krążyliśmy po dzielnicy. Później, kiedy Michnik został zatrzymany, powołano mnie na świadka. Mówiłem, że żadnych specjalnych kontaktów z panem Michnikiem nie miałem, a oni mi pokazali zdjęcia nas w tym samochodzie. Powoływałem się w sądzie na prawo polskie, które umożliwia dziennikarzowi nieujawnianie treści swoich rozmów, na co przewodnicząca powiedziała: „W ten sposób pan przyznaje, że miał pan relacje zawodowe z panem Michnikiem”. Odparłem, że dziennikarz niestety nigdy nie może określić, które relacje są natury zawodowej, a które natury prywatnej. Na tym się skończyło.

B.P. – **Świadomość, że jest się inwigilowanym, to jedno, ale czy było to widoczne, odczuwalne?**

B.M. – To był okres, kiedy mieszkaliśmy na rogu Malczewskiego i Krasickiego. Później, kiedy byliśmy w Wiedniu, spotkaliśmy syna państwa, którzy mieszkali w domu naprzeciwko, powiedział „Moi rodzice ogromnie się ucieszyli, że wyjechaliście, bo przez cały wasz pobyt oni mieli jeden pokój zarezerwowany i była tam jakaś aparatura itd.” Uważałem to mimo wszystko za rzecz fantastyczną, że jednemu korespondentowi okazuje się tyle zainteresowania. Kiedy wróciłem w 1977 r., wszystko już było o wiele łagodniejsze, ten pierwszy okres był gorszy. Kiedyś jechaliśmy Puławską, a za nami pojawiła się żółta wołga. Jedziemy, a ona ciągle jest za nami. Na placu Unii Lubelskiej było wtedy pełne rondo, zacząłem krążyć, ona za mną, i tak zrobiliśmy trzy okrążenia. Ale to był rodzaj zamanifestowania obecności. Kiedy na przykład chodziliśmy w niedzielę na spacer na Pole Mokotowskie z psem, zawsze jakieś pięćdziesiąt, sto metrów za nami towarzyszyła nam dwójka ludzi. To było bardzo demonstracyjne, ale poza tym nic szczególnego się nie działo.

K.B. – Bardzo szybko zorientowałem się, że wszystko, co my korespondenci robimy, jest wiadome władzom. Nie ma mowy o jakiejś tam konspiracji, jakimś specjalnym ukrywaniu się, bo wszystko mniej więcej o nas wiadomo. Wiedziałem, że jestem inwigilowany, obserwowany i wobec tego nie ma co się wygłupiać. Miałem także świadomość, że jak oni chcieli, bym zobaczył, że za mną idą, to ich widziałem, a jak nie chcieli, to ich nie widziałem. Albo robili to dyskretnie, albo traktowali to jako sposób zastraszania.

B.P. – Kim byli panów informatorzy?

B.M. – Fakty były takie – z lektury „Trybuny Ludu” mieliśmy może 10 proc. potrzebnej informacji, więc musieliśmy mieć kontakt z żywymi ludźmi. Miałem taką zasadę, że po pierwsze muszę pisać to, co myślę, nawet gdyby były wywierane na mnie naciski. Po drugie, żeby nie robić nic, co mogłoby prowadzić do zagrożenia ludzi, z którymi rozmawiałem. Kolejna zasada, że kontakty muszą być bez żadnych ograniczeń, starałem się skontaktować ze wszystkimi, którzy mieli w konkretnej sprawie coś do powiedzenia. Miałem kontakty i z ludźmi partii, i z ludźmi Kościoła czy opozycji. Na przykład w grudniu 1970 r. pojechałem do Szczecina, gdzie trwał strajk, i byłem świadkiem tych wydarzeń, ale z drugiej strony miałem również bardzo dobre informacje na ten temat z Biura Politycznego.

B.P. – Kto był pana źródłem?

B.M. – Napiszę o tym w swoim pamiętniku. Ten wysoko postawiony, nieżyjący już, członek partii oczywiście nie chciał rozmawiać w pomieszczeniu zamkniętym, więc spacerowaliśmy razem po lesie. Od niego wiedziałem, co było na posiedzeniu Biura, jeszcze przed Szczecinem. Gierek, nowy pierwszy sekretarz, chciał tam pojechać – To są robotnicy argumentował – ja też jestem robotnikiem, trzeba z nimi rozmawiać. I tu towarzysz Józef Kępa powiedział – nie, ja się nie zgadzam, niech oni wrócą do pracy, a potem zobaczymy. Gierek upierał się przy swoim. Kępa wziął go za kłapy – nie, to są chuligani, z chuliganami się nie rozmawia. Potem była dwugodzinna przerwa i Gierek z Jaruzelskim, ówczesnym ministrem obrony, pojechali na lotnisko wojskowe, i do Szczecina. „Pomożecie? Pomożemy!” Opisałem to i zawiadomiono mnie telefonicznie z pałacu Mostowskich – pan redaktor jest wydalony z Polski, została anulowana moja wiza. Przez dwa dni nie wiedział o tym ani MSZ, ani ambasada PRL w Paryżu.

K.P. – W znanych mi dokumentach Departamentu II MSW wiele uwagi poświęcono kontaktom zachodnich dziennikarzy z ich źródłami informacji, pochodzącymi głównie ze środowiska inteligenckiego: dziennikarze (przede wszystkim związani z redakcją tygodnika „Świat” – małżeństwo Edda i Roman Werflowie), literaci (m.in. Antoni Słonimski,

Sławomir Mrozek, Jan Kott), plastycy, filmowcy, adwokaci, naukowcy (m.in. Julian Hochfeld, Adam Schaff, Oskar Lange), a także niektórzy księża oraz działacze katoliccy (m.in. Stanisław Stomma, Stefan Kisielewski). W końcu 1961 r. Wydział VII Departamentu II MSW prowadził 26 tzw. teczek porządkowych na obywateli polskich, stanowiących ważniejsze źródła informacji dla zagranicznych korespondentów. Nie wiem, czy panom są znane nazwiska Aleksandra Wołowskiego, który współpracował z prasą francuską, Tomasza Atkinsa (który był współpracownikiem m.in. Philippe'a Bena) i Henryka Hollanda. To są trzy przypadki pociągnięcia obywateli polskich do odpowiedzialności karnej za to, że udzielali informacji zagranicznym korespondentom (mówię o okresie gomułkowskim).

B.P. – Wyobrażam sobie, że panowie musieli doświadczać wielu sytuacji, utrudniających wam pracę. Myślę tu działaniach SB, które miały na celu utrudnienie dotarcia do źródeł informacji czy jakiejś formie nękania – rewizje, konfiskata materiałów, intrygi.

K.P. – Jest jeszcze kwestia, na przykład rozmów ostrzegawczych w Departamencie Prasy i Informacji MSZ. I najostrzejsza forma represji, jaką można było zastosować w stosunku do niewygodnego korespondenta, czyli ekspulsja. W latach 1957–1962 na wniosek Departamentu II MSW ekspulsowano dziewięciu korespondentów zachodniej prasy, sześciu innym nie przedłużono akredytacji. W tym samym okresie uznano za *persona non grata* i wydalono z Polski około dwunastu dyplomatów i pracowników placówek dyplomatycznych oraz konsularnych.

K.B. – Gdy przyjechałem do Polski, to wiedziałem, że najważniejszą rzeczą jest nie dać się wplątać w żadne szpiegostwo, to znaczy ani na rzecz polskich służb, ani angielskich służb, bo to jest kanał straszny. To jest najważniejsze, żeby nie dać się w to wplątać, to do niczego dobrego nie prowadzi. Mój najgorętszy okres – to było tuż po otrzymaniu akredytacji – jesień 1976 r., powołanie KOR, Radom, Ursus, procesy korowskie we wrześniu. Wtedy zwracano mi uwagę: „Niech się pan odczepi od tych tak zwanych dysydentów”. I chcieli mnie wówczas wyrzucić z Polski. Nie doszło do tego, chyba z tego powodu, że oni zabrali się za to tuż przed wizytą Jaroszewicza w Londynie. Wyrzucenie korespondenta „Financial Times” przed wizytą premiera stworzyłoby złą atmosferę. Mam wrażenie, że interweniował wtedy MSZ. W tym czasie ktoś mi opowiadał, że jechał autobusem, a obok niego stał człowiek, który wyjął z teczek notatnik, a w nim miał moje teksty z „Financial Times”. Pokazał mu te teksty i palcem zrobił taki gest „nie, nie”, żeby już się ze mną nie kontaktować.

B.P. – Zachowanie rodem z przedszkola, jeśli chodzi o wprowadzanie jakiejś dyscypliny.

K.B. – A gdy chodzi o presję na to, co pisałem, to była ona wywierana przez MSZ. Jeżeli im się coś nie podobało, to wzywali na rozmowę. Straszne były takie doroczne przyjęcia w MSZ, tam właśnie zbierali się wszyscy ci faceci z tego departamentu, a nie był to miły departament; wizyta w nim także nie. Niemiłe też było coroczne przedłużanie akredytacji, mogli ją zawsze cofnąć. W moim przypadku nie nadużywano wywierania na mnie presji. Raczej mówiono, że oczekuje się ode mnie, żebym trzymał się tematów bardziej ekonomicznych, a mniej politycznych, co do 1980 r. nie było wcale takie proste, bo tematów ekonomicznych zwyczajnie nie było. W latach 1980–1981 dali sobie spokój.

K.P. – Mówi się, że policja polityczna wie tyle, ile jej doniosą agenci. Uderzające jest, że rzadko dokonywano merytorycznej analizy nadawanych przez dziennikarzy korespondencji. Najczęściej przepisywano dosłownie oceny i opinie na ich temat zawarte w doniesieniach agentów. Po części było to spowodowane dość niskim, przynajmniej w badanym przeze mnie okresie, poziomem wykształcenia oficerów operacyjnych kontrwywiadu (zwłaszcza słabą znajomością języków obcych), po części zwykłym urzędniczym lenistwem.

B.P. – **No właśnie, to kolejna ważna sprawa – agentów w najbliższym otoczeniu – wśród współpracowników, tłumaczy, zatrudnianego przez panów personelu biura czy w domu.**

K.B. – Ja nie musiałem mieć tłumacza. Od początku liczyłem się z tym, że mam założony podstuch, że gospoia może być współpracownikiem. Nie było na to sposobu. Nie będę przecież szukał podstuchu, bo nawet gdybym go znalazł, to oni mi założą nowy, a jak będę znęcał się nad gospoisią za to, że ona donosi – to ona odejdzie, a tę następną też zwerbuję. Takie było wstępne założenie – jesteśmy w tym kraju, robimy to, co robimy, ten kraj jest taki jaki, jest i są w nim określone warunki tej pracy. A jeżeli chodzi o pracowników, to rzeczywiście poproszono mnie, żebym zatrudnił chłopaka po stanie wojennym. Pamiętam, że do niego się przyczepiali. Opowiadał mi, że oni się długo zastanawiali, dlaczego ja w faksie, w depeszy zmieniam jakieś słowa. Z tego rozumiałem, że analizowali każdy znak, przecinek i kleks. Ale muszę powiedzieć, że okres, w którym pracowałem, nawet na początku, w 1976 r., był zupełnie inny niż ten, o którym pan mówi. W zeszłym roku oglądałem swoją teczkę w IPN. Z tego, co tam widziałem, wynika dosyć prawdziwie to, co donoszono i co pisano o mnie. Interesowano się mną z punktu widzenia zwerbowania mnie do pracy w Anglii, tutaj nie byłem im potrzebny.

B.P. – **Pana wprowadzającym do pracy i mentorem, przynajmniej na początku, był Ludwik Zimmerer. Czy on pana przed niczym nie ostrzegął, nie dzielił się jakimiś swoimi doświadczeniami?**

K.B. – Wszystko było właściwie zupełnie jasne. Ja byłem młody i głupi i nie przychodziło mi do głowy, że może mi się coś złego zdarzyć.

K.P. – Z materiałów, które badam, wynika, że w willi Zimmerera założono podsłuchy.

K.B. – A gdzie je włożyli? I jak oni to zrobili?!

B.P. – Była przecież specjalna sekcja techniczna, która dysponowała takimi możliwościami. Na początku zakładano podsłuch telefoniczny, podsłuch mikrofonowy w pomieszczeniu, później stosowano także podgląd fotograficzny. Możliwości, żeby to zrobić było mnóstwo, każde przybycie do jakiegokolwiek awarii w domu było do tego stosowną okazją. Wytrenowano to dobrze, między innymi na Międzynarodowych Targach Poznańskich. Tam zawsze było duże zagęszczenie obcokrajowców, cudzoziemców umieszczano w określonym hotelu itd. Służby miały też dobrze rozpracowane mieszkania korespondentów, bo bywało niejednokrotnie, że oni przejmowali mieszkania po swym poprzedniku, był też w Warszawie specjalnie dla nich wybudowany hotel Zgoda.

K.P. – Pensjonat Zgoda, mówię o tym nowym, już w momencie budowania został wyposażony w odpowiednią infrastrukturę, odpowiednią instalację podsłuchową i chyba też podgląd. To był „inteligentny” budynek. Ale chciałem jeszcze zapytać, czy panowie mieli jakiś rodzaj nieprzyjemności w związku z treścią panów korespondencji, jakieś ostrzeżenia?

K.B. – Jesienią 1976 r. zwabili mnie do hotelu Europejskiego do jakiegoś pokoju, to było podczas zatrzymań całego KOR. Tam było dwóch mężczyzn. Na początku myślałem, że oni chcą mi coś powiedzieć, bo ktoś zadzwonił i powiedział, że chce mi przekazać wiadomości. I ja głupi tam polecałem. Oni mówili, a może byśmy współpracowali, my byśmy panu dawali materiały... Panu byłoby łatwiej, miałby pan sukcesy zawodowe. Uciąłem tę rozmowę od razu i wyszedłem stamtąd. Taka była ideologia korowska – żadnych kontaktów. Jedyna koncesja, jaką zrobiłem na ich rzecz, to tyle, że nikomu nie powiedziałem o tym spotkaniu. I to w tej teczce mojej jest opisane. Tak, jak było. Od czasu do czasu czepiali się – to właśnie były te rozmowy w MSZ. Ich częstotliwość zależała od krnąbrności korespondenta.

B.M. – Ja miałem te rozmowy dość często, także ze Staniszewskim. Ludzie, którzy byli uprzejmi i uśmiechnięci, raptem zapraszają mnie do MSZ i mówią „Pan jest wrogiem Polski, działa przeciwko socjalizmowi, w zmoiwie, na szkodę państwa, prowadzi pan dywersję”. Tak było regularnie. Czuję taką presję. Ciekawe, że my dwaj zachowywaliśmy się nieco inaczej. Ja miałem trudności, najpierw w 1968 r., a potem przy okazji

odnawiania wizy, które się odbywało w pałacu Mostowskich. Ktoś się zajął tą sprawą, wyszedł z pokoju, mówiąc, że zaraz to załatwią. W tym czasie pojawiło się dwóch panów i mówią: „No, wiza to jedno, ale czym się pan zajmuje, jakie tematy pana interesują, bo musimy sprawdzić, czy pańska działalność jest w zgodzie ze statusem korespondenta”. Nie widziałem powodu, żeby im tego nie powiedzieć, bo zawsze rozmawiałem z nimi otwarcie o tych tematach i o tych osobach, o których oni doskonale i tak wiedzieli, że się nimi interesuję, czy to dlatego, że mnie śledzą, czy dlatego, że o tym po prostu piszę w swoich korespondencjach. Nie mówiłem natomiast oczywiście, z kim spotykałem się potajemnie – z ludźmi Kościoła czy opozycji, bo tak to robiłem, żeby oni o tym nie wiedzieli. To była swego rodzaju tragikomedia. Ty byłeś w Europejskim, a ja byłem w kawiarni koło Morskiego Oka. Tam w latach 1968–1971 mniej więcej raz na trzy miesiące prowadził ze mną rozmowy pewien jegomość. Skądinąd były to często bardzo ciekawe rozmowy, bo ludzie delegowani na takie spotkania byli na znacznie wyższym poziomie niż większość przedstawicieli partii. Na ogół był to absolwent wydziału prawa, młody, inteligentny człowiek. Zwykle też miał zupełnie inny punkt widzenia niż przedstawiciele aparatu partyjnego. Dla mnie jako korespondenta było to bardzo istotne. To było jeszcze jedno dodatkowe źródło informacji. Poza tym czasem chodzili za mną, jeździli samochodem. Zakładałem, że te rozmowy nie były dla nich zbyt interesujące, znacznie bardziej interesujące były one dla mnie, bo pozwalały mi na przykład rozumieć, jaka jest gra między aparatem bezpieczeństwa a aparatem partyjnym.

K.P. – Kontrwywiad interesował się też kontaktami korespondentów z własną ambasadą, przede wszystkim chodziło o to, czy ambasady zlecały zbieranie informacji politycznych, o wykorzystanie przez korespondentów kanałów dyplomatycznych do przekazywania za granicę zdobytych nieoficjalnie poufnych lub sensacyjnych wiadomości itd. Czytałem raporty wydziału Departamentu II. Oni się bardzo konspirowali, stosowali kryptonimy, ale jest to pasjonujące, na przykład kiedy te podstuchy są zakładane, zdejmowane i zakładane znowu. A przecież ambasada jest obiektem bardziej strzeżonym niż prywatne mieszkanie, ale włamania do kas pancernych były na porządku dziennym.

B.M. – W ambasadzie francuskiej znaleziono mikrofony w windach pięć lat po ich zainstalowaniu. Ja miałem takie stanowisko, że jestem tutaj gotów rozmawiać z każdym i wykorzystuję to jak najlepiej zawodowo, w zgodzie z sumieniem, ale muszę powiedzieć, że od razu informowałem o naszych „spotkaniach przy kawie” ambasadę francuską. Po takim wypiciu kawy i rozmowie jeździłem zawsze do ambasady, do pułkownika, i szliśmy do pokoju, który był jakoby bezpieczny. Opowiadałem o przebiegu całej rozmowy, o co pytał ten człowiek, co go interesuje, jakie jest jego nastawienie i dlaczego on w niektórych przypadkach krytykuje partię. Był taki moment, w którym zostałem potępiony w prasie, nawet w prasie

sportowej, gdy napisałem na temat Wścigu Pokoju. W książce *Sąd idzie* Maria Osiadacz pisze, że na początku lat siedemdziesiątych pan Margueritte przyjechał do Polski, aby uprawiać dywersję ideologiczną według dyrektyw pana Wiesenthala z Wiednia. Kiedy to było pisane, ja w ogóle go jeszcze nie znałem. Była jeszcze jedna rzecz, która ich denerwowała, miałem kontakt ze służbą wojskową w ambasadzie francuskiej i chciałem, żeby oni wszystko wiedzieli, a jednocześnie w ambasadzie amerykańskiej miałem swoją skrzynkę pocztową wraz z korespondentami amerykańskimi, zamawiałem przez nich oprócz korespondencji na przykład także drukarkę czy inne potrzebne mi rzeczy. W pewnym momencie jedna strona była przekonana, że jestem szpiegiem współpracującym z CIA, a druga, że może jestem współpracownikiem KGB. Podejrzanie o współpracę z CIA wynikało stąd, że kiedy byłem w Wiedniu, po czterech latach dostałem zaproszenie od Amerykanów do Harvardu i do ośrodka badań rosyjskich, gdzie był między innymi Richard Pipes. Ten ośrodek miał w krajach socjalistycznych, co jest dla mnie absurdalne, opinię ośrodka CIA, co nie było prawdą. Po prostu tam powstawały opracowania, które mogły być zamówione czy czytane przez CIA. W końcu ci „panowie” stracili ochotę do zapraszania mnie na kawę (trochę załowałem i trochę załowała nasza ambasada), bo zrozumieli, że ja mam z tego większą korzyść niż oni. Kiedy wróciłem po przerwie w 1977 r. do Polski, to chyba tylko raz miałem takie zaproszenie.

K.B. – Chciałem oświadczyć, że ja nie miałem żadnej skrzynki w ambasadzie amerykańskiej ani w angielskiej. Anglicy byli najgorsi, w ogóle nam nie pomagali. Nie rozmawiałem z żadnym wywiadem angielskim ani żadnym innym. Byłem zapraszany do ambasady i rozmawiałem z dyplomatami angielskimi, ale ja nawet nie wiedziałem, kto z nich jest z wywiadu wojskowego.

B.P. – To jest miejsce naszej rozmowy, w którym podzielę się z panami pewnym swoim doświadczeniem. Pracowałam przez kilka lat w Ośrodku Studiów Wschodnich, byłam już po sowietologicznym stypendium w Stanach, między innymi w ośrodku Pipesa. OSW metodą białego wywiadu zbierał informacje oficjalne o Wschodzie. Bardzo często wyjeżdżałam najpierw do ZSRS, potem do Rosji. Kolejny wyjazd zdarzył mi się, kiedy zaczynało się zainteresowanie Polski rynkiem paliwowym i perspektywami rozwoju wydobywania ropy naftowej. Umawiałam się w różnych miejscach z rozmówcami, wcale nie kryjąc, skąd jestem, oficjalnie, korzystając z telefonów. Mieszkałam w mieszkaniu mojej znajomej, której akurat nie było, bo wyjechała na zimowe wakacje, to było tuż przed Nowym Rokiem. Wróciłam wieczorem do domu i już przy otwieraniu drzwi zorientowałam się, że coś jest nie tak, choć nic nie wskazywało na to, że ktoś był w tym mieszkaniu, do momentu, kiedy weszłam do pokoju, który zajmowałam. Tam był po prostu totalny, teatralny kipsz, łącznie z wyrzuconymi książkami dotyczącymi



Korespondent „Chicago Daily Tribune” Irvin Lisagor, który odwiedził Polskę w sierpniu 1959 r. w ekipie dziennikarzy towarzyszących wiceprezydentowi Richardowi Nixonowi. Fotografie operacyjne wykonane w Warszawie przez wywiadowców Biura „B” MSW.

w znacznej mierze geologii, poniszczone moje rzeczy, ale co ciekawe, nie zginęło nic, łącznie z dolarami, które leżały na stoliku. Z rzeczy mojej przyjaciółki też nic nie zginęło, a miała i biżuterię, i jakiś nowoczesny sprzęt radiowo-telewizyjny. To była taka demonstracja i ostrzeżenie – jesteśmy. Natychmiast, tego samego wieczoru, zgłosiłam to na milicję, której przedstawiciel zameldował się po kilku dniach. Chciano mnie przestraszyć, co w jakimś sensie się powiodło, bo uświadomiło mi, że narażam moich przyjaciół.

K.B. – Ja też miałem takie wydarzenie, ale jeszcze przed akredytacją, w 1975 albo 1976 r. Moja babcia mieszkała na Tamce i miała tam wolny pokój. Akurat wtedy Joanna Szczęsna, którą poznałem u Zimmerera, nie miała gdzie mieszkać, więc zaproponowałem jej ten pokój. I wydarzyło się to samo, zrobiono coś strasznego z tym jej pokojem. Na milicji także się tym w ogóle nie zainteresowano. Wracając do tej wywieranej presji. Oczywiście takim miejscem urabiania korespondentów był Interpress, choć pozornie było to miejsce bardziej przyjazne niż wezwania na rozmowy, bo one były bardzo nieprzyjemne.

B.M. – Dyrektorem był Mirosław Wojciechowski. To był człowiek wywiadu wojskowego.

K.B. – Maciej Górski, aktualny wiceminister obrony, szef w ostatnim okresie, był zięciem Staniszewskiego.

B.P. – **A nigdy nie zginęły panom jakieś korespondencje, materiały, zdjęcia?**

B.M. – Nie, bo ja zawsze pracowałem sam, bez tłumacza, sekretarza. Jak przyjechałem w czasie strajku do Szczecina, to przed główną bramą stała furgonetka z Amerykanami. Cała ekipa próbowała wejść, a ja wszedłem bocznymi drzwiami, zadzwoniłem do przewodniczącego komitetu strajkowego i wszedłem w pojedynkę. Kiedyś jednak w Zalesiu Górnym, gdzie mieszkaliśmy, był napad na nasz dom. O tym zresztą sporo pisano.

B.P. – **O ile pamiętam, ten napad nosił wszelkie znamiona napadu bandyckiego.**

B.M. – Do dziś, szczerze mówiąc, nie wiem, co to było. Nasz dziadek został wtedy z dziećmi, my byliśmy na kolacji w Warszawie. Gdy wróciliśmy, zastaliśmy go poranionego w krzakach, zdołał tylko powiedzieć, że było dwóch z nożami. Gdy wszedłem do domu, z pierwszego piętra schodził mój syn, niosąc telewizorek, miał wówczas jakieś dziewięć lat. Za nim szedł jakiś młody człowiek. Gdy mnie zobaczył, wziął od syna telewizor i rzucił nim we mnie. Ale ja kiedyś grałem w rugby i złapałem ten telewizor...

K.B. – ... odrzuciłeś go temu facetowi?

B.M. – Nie, złapałem syna, wyprowadziłem na taras i powiedziałem – uciekaj! Sąsiedzi sprowadzili pogotowie i milicję, ja chciałem wrócić do domu, córka była na pierwszym piętrze, miała wtedy rok. Kiedy przyjechała milicja i weszliśmy do domu, widok był okropny, wszystkie kable były pocięte na drobne kawałki, telefon zniszczony. To był rok 1987. Wszędzie, a zwłaszcza w dużym pokoju, było dużo krwi. Z inspektorem milicji wchodzimy do kuchni, a tam wszędzie jest czerwono, nawet na szafkach. On wyraził obawę, że dziadek stracił mnóstwo krwi, marnie z nim będzie, ale po jakimś czasie spogląda znowu na te szafki i mówi: „Zaraz, zaraz, to jest sok z buraków”. W dużym pokoju rzeczywiście była krew, ale w kuchni – sok z buraków. Potem złapano jakichś dwóch młodych ludzi. Ja do dziś nie wiem, czy to miało charakter rabunkowy. Najbardziej zdumiewająca była jednak ta inscenizacja w kuchni. A syna trzymali przez pół godziny z nożem przy szyi i usiłowali od niego wydobyć, gdzie są pieniądze. On już wtedy miał zimną krew (dziś jest pilotem Air France) i zwodził ich, wskazując a to walizki, a to jakąś szafę. Potem osobiście zatelefonował do mnie Kiszczak, który gwarantował mi, że oni z tym nie mają nic wspólnego.

K.B. – Wspominaliśmy już, że najgorsze dla korespondenta było wydalenie z kraju. To była groźba i dla dziennikarza, i dla jego redakcji. Każdy szef mówił – nie daj się wyrzucić, bo to są koszty. Jak się wysyła korespondenta do jakiegoś kraju, trzeba go opłacić. Gdy go wyrzucą, trzeba wystać następnego. Wszyscy więc rozumieli, że są pewne granice, których się nie przekracza. Oczywiście w różnych okresach te granice trochę inaczej przebiegały. To była pewna gra. Z ich strony wydalenie też było dużą rzeczą. Przede wszystkim, gdy kogoś wydalali, to była zła publicity dla kraju itd. Według mnie, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych, ale także w siedemdziesiątych, im zależało na tym, żeby było dużo dziennikarzy zagranicznych w Polsce. To był prestiż, to znaczyło, że ludzie interesują się Polską, przyjeżdżają tu. Można ich urabiać i trzeba mieć nad nimi kontrolę. Jak ktoś siedzi w Nowym Jorku i pisze o Polsce, to może pisać wszystko i nikt go nie kontroluje. Wydalenie było więc dla obu stron kłopotliwe. W latach osiemdziesiątych została wydalona tylko jedna osoba, koleżanka Ruth Gruber z UPI, kompletnie nie z powodu tego, co pisała, ale oni po prostu chcieli zrobić prowokację, to na pewno jest w teczkach. Myśmy musieli o tym pamiętać, że pracowaliśmy w kraju, który nie był wolny, i w związku z tym były pewne reguły, które trzeba było respektować. Amerykanie mieli większą swobodę manewru. Ale też nie chcieli być wyrzucani. Ktoś, kto zostałby wyrzucony na przykład w stanie wojennym, tracił kontakt z historią, która wtedy była bardzo chodliwa w świecie. Każdy dbał o to, żeby go nie wydalili.

B.M. – Na pewno inne było podejście Amerykanów i inne Europejczyków. Dla naszych agencji, we Francji, Anglii czy w Niemczech, ważne

było, by utrzymywać korespondenta, który jest długo, wszystkich zna, rozumie sytuację. Amerykanie nie; oni myśleli, że po trzech latach człowiek jest już za bardzo uwikłany i należy go zmienić jak najprędzej.

K.B. – Taki wyrzucony korespondent był bohaterem tylko przez chwilę.

K.P. – Jeśli chodzi o ekspulsję, to była taka ambiwalencja ze strony władz polskich. Z jednej strony oni chcieli, żeby byli tu zagraniczni dziennikarze, ale z drugiej dobrze byłoby, żeby ci dziennikarze pisali to, co podaje partia, co Urban mówi na konferencjach prasowych itd. Była więc kontrola nad źródłami i utrudnianie czy uniemożliwianie zdobywania informacji. Znalazłem taką historyjkę, którą znam ze źródeł, ale ciekaw jestem, czy panowie tego doświadczyli, czy słyszeli o podobnych rzeczach. Mianowicie w 1964 r. był w Łodzi taki rabin Wawa Morejno, swoją drogą chyba trochę wariat. Zamęczał władze różnymi memoriałami, w tym przypadku słusznymi, na temat losu cmentarzy żydowskich. Wysłał jeden memoriał i do premiera, i do ministrów, postanowił też poinformować zagranicę i umówił się z korespondentem bodaj UPI, że udzieli mu na ten temat wywiadu. Ten korespondent wraz ze swoim tłumaczem miał pojechać do Łodzi, o czym – nie wiem dokładnie skąd – ale dowiedziała się Służba Bezpieczeństwa. Zrobiono tego typu operację, że pod jakimś pretekstem zatrzymano korespondenta w Warszawie, natomiast do Łodzi pojechało dwóch oficerów kontrwywiadu, którzy przedstawili się jako korespondent i jego tłumacz, i oczywiście umówiony wywiad przeprowadzili. Czytałem ich raport. Były też różne inne sposoby utrudniające dziennikarzom dotarcie do źródła informacji, zatrzymanie w drodze, konfiskowanie tekstów, rewizje na granicy.

K.B. – Moim kolegom to się przytrafiało. Mnie tylko raz zabrali notatki, jak weszliśmy do stoczni w 1988 r. Kiedy wychodziliśmy, wszystkich nas zatrzymali i przeszukiwali, zabrali notatki, w których i tak nic ważnego nie było.

B.M. – Nie miałem nigdy rewizji na granicy w Polsce, ale w krajach sąsiednich to się zdarzało. Kiedy wracałem do Polski, zatrzymano mnie w NRD, wieczorem. Byłem już szczęśliwy, że koło północy dotrę do Warszawy, a tu mnie zatrzymują na parkingu, zabrali paszporty i mówią: „Pan wygląda na zmęczonego, to niebezpiecznie prowadzić w takim stanie samochód, niech pan tutaj zostanie, jutro rano wrócimy z paszportem”. Wrócili o szóstej rano następnego dnia. Czułem się wtedy bardzo niepewnie, bo byłem jednak przez ileś godzin bez dokumentów. Drugi przypadek, bardziej humorystyczny, zdarzył się kiedy po raz pierwszy z żoną, której rodzina jest z Kresów, jechaliśmy pociągami do Wilna. To był 1979 r., tuż po pierwszej wizycie Ojca Świętego w Polsce. Miałem ze sobą kamerę i filmy do tej kamery, jeszcze nie rozpieczętowane nawet, przeznaczone na Wilno. Na granicy oni je złapali. Tłumaczyłem, że są nowe, firmowo zapakowane. „Tak, tak, znamy te meto-

dy” – i poszli z tym. Wrócili pół godziny później. Ale dzięki temu przewieźliśmy to, co mieliśmy w kieszeniach, mianowicie teksty wszystkich przemówień Ojca Świętego wygłoszonych w Polsce.

B.P. – A wtedy rzeczywiście w obrębie bloku było one traktowane jako wyjątkowo trefne materiały.

B.M. – Trefne i bardzo ważne, tam znajome siostry zakonne, bezhabitowe dominikanki, całą noc mozolnie je przepisywały. Nawet pamiętam, że robiły to takimi mocno już stemperowanymi ołówkami...

K.B. – Jeżeli chodzi o te granice, to nie tylko enerdownicy byli okropni, Czesi też szaleli. Ja jeździłem często do Włoch samochodem. Kiedyś wiozłem ze sobą cały plik polskich gazet. Myślałem, że na wakacjach zdążę je przeczytać. To oczywiście teoretycznie świetnie nadawało się do szmuglowania tekstów. Celniczka patrzyła na te gazety, ale nie przyszło jej do głowy, żeby to przejrzeć. Czesi najczęściej zabierali książki. Czasami woziłem pieniądze od Eugeniusza Smolara dla różnych ludzi w kraju. Bardzo tego nie lubiłem, nie chciałem tego robić, bo wychodziłem z założenia, że nie należy robić niczego, co jest zabronione, ale też właściwie nie miałem z tym specjalnych kłopotów.

B.M. – W PZPR były wtedy bardzo różne prądy, jeszcze inne były w aparacie bezpieczeństwa. Opowiem, jak wróciłem po wydaleniu do Polski. Kiedy pracowałem jako korespondent w Wiedniu, będąc w Paryżu w redakcji „Le Monde” dostałem zaproszenie na koktajl do paryskiej ambasady PRL. To był pierwszy po dwóch latach milczenia sygnał od nich. Radca ambasady wziął mnie na stronę. Zapytał, czy nie mam urazu po tym, co się stało; odpowiedziałem, że moje więzi z Polską, z krajem mojej żony, są zbyt silne. A on mówi: „To ja teraz muszę panu powiedzieć, jak do tego doszło. Po tym, co pan napisał, na posiedzeniu Biura Politycznego (zatkano mnie wtedy, że losy dziennikarzy mogą być omawiane na posiedzeniu Biura Politycznego) towarzysz Kępa powiedział, no, musicie wybierać, albo Margueritte, albo ja. No i widzi pan, wówczas musieliśmy wybrać jego. To nie trwało długo, bo pięć miesięcy później była afera Moczara i wtedy Kępa też odszedł. A teraz, jeżeli pan poprosi o wizę, to pan ją dostanie”. Mówię, że jest konferencja partyjna w 1973 r. „A tak, to dostanie pan zaproszenie”. W Wiedniu dostałem rzeczywiście z konsulatu zaproszenie na konferencję, ale wówczas nosiłem wielką brodę i na posterunku granicznym w Bratystawie powiedziano mi, że nie przejadę, bo na zdjęciu jej nie mam, a najbliższy, bardzo dobry fryzjer jest 7 kilometrów stąd. Wróciłem do Wiednia, zadzwoniłem do radcy i powiedziałem, że nie mogę przyjechać z powodu brody. On oddzwonił z informacją, żebym następnego dnia przeszedł przez punkt graniczny w Znojmie, powinno być dobrze. Przejechałem bez żadnych kłopotów.

K.P. – Mam jeszcze jedno pytanie dotyczące ekspulsji. Otóż odnoszę takie wrażenie, że bardzo często korespondenci nie mogąc napisać wszystkiego, co mogliby napisać, jakiś szerszy tekst czy książkę pisali dopiero po wyjeździe z Polski. Tak było na przykład z Abrahamem Rosenthałem, korespondentem „New York Timesa” w Polsce do 1959, kiedy go wyrzucono z Polski. Po wyjeździe napisał duży cykl artykułów i za ten cykl dostał Nagrodę Pulitzera. To była jedna z dwóch nagród, które przyznano za dziennikarstwo dotyczące Polski. Drugą otrzymał John Dart za publicystykę dotyczącą „Solidarności”.

K.B. – Oczywiście, że był taki rodzaj skrępowania, który na przykład nie pozwalał napisać, że Edward Gierek jest zbrodniarzem. Ale to jest gra z każdym źródłem. Myśmy byli przy źródle w Polsce. Oczywiście, były rzeczy, o których wiadomo było, że można za to zostać wyrzuconym. Na pewno można było być wyrzuconym za napisanie nieprawdy. Aczkolwiek korespondent ANSy nie został wyrzucony, gdy napisał, że Piotr Jaroszewicz nie żyje, i o mały włos nie umarł, gdy się dowiedział, że on żyje. Gdyby człowiek pisał bez przerwy, że komunizm jest kompletnie do niczego, że ten ustrój nie działa, że wszyscy są skorumpowani, brutalni itd. i strasznie dużo ludzi siedzi za poglądy, to miałby poważne trudności.

B.P. – Dla wielu korespondentów, dziennikarzy, którzy przyjeżdżali do Polski, to był początek lub jakiś etap drogi. Jeśli byli zainteresowani Europą Wschodnią (znam szereg takich osób), to startowali z Warszawy do Moskwy, więc nie mogli sobie pozwolić na to, żeby tu wypadć z pewnej założonej poprawności.

K.B. – To jest wszystko w ramach tego urabiania.

B.M. – Oczywiście, to działo się w ramach pewnej konwencji, ale nie mam wrażenia, że nie mógłbym wydać w formie książki tego, co wówczas pisałem. Z tym że ja zawsze sobie robiłem takie punkty – starać się przedstawić sposób myślenia i intencje danej grupy: opozycji, Kościoła, władzy. Dlaczego oni robią to, co robią? To miało bardzo śmieszne skutki, bo zawsze wieczorem Wolna Europa cytowała trzy czy cztery punkty z tych korespondencji, a nazajutrz w „Trybunie Ludu” były pozostałe punkty. Podczas stanu wojennego zaczęła się „zabawa” z cenzurą. To był jedyny okres, gdy mieliśmy bezpośrednio do czynienia z cenzurą. O trzeciej po południu odnosiliśmy w trzech egzemplarzach teksty, w języku rosyjskim, francuskim i niemieckim, czyli na przykład biedni Włosi musieli to pisać nie w swoim języku. I jak wszystko dobrze poszło, to koło ósmej to wracało z cenzury wojskowej ze zmianami. Dopiero wtedy zrozumiałem, co moi koledzy w Polsce mieli na co dzień z cenzurą. Trzeba było grać.

K.B. – To było rzeczywiście potworne, tutaj mówiliśmy o tym urabianiu nas, żebyśmy pisali tak, żeby się nie narazić, ale to był szok, jak oni zaczęli cenzurować. Chciałem zwrócić uwagę na to, że w momencie stanu wojenne-

go nas wszystkich nie wyrzucano, oni chcieli, żebyśmy tu byli. Prawdopodobnie dlatego, że uważali, iż stan wojenny będzie miał „łagodny” przebieg i chcieli, żebyśmy my o tym pisali. Mogli nas przecież wtedy wszystkich wyrzucić. Dali nam akredytację, zrobili cenzurę itd., ale odbywała się gra, urabianie nas i posiadanie nas na miejscu, pod kontrolą – bo gdybyśmy byli za granicą, to oni nie mieliby nad nami żadnej kontroli. Pamiętam taki incydent: przyjechał Michael Getler z „Washington Post”, siedzimy przy jakiejś kolacji, rozmawiamy. I on pyta: „Czy są takie rzeczy, o których nie możecie napisać, to ja jako przyjezdny o tym napiszę”. Myśmy nie mieli takich tematów. Były też takie techniki, że zwłaszcza jak nadeszły jakieś wyjątkowe wiadomości, to agencje starały się razem pisać, bo żadna nie chciała się specjalnie wychylać, żeby wiadomość podana jako pierwsza nie była potraktowana przez władze jako nieprzychylna. Starano się pisać w tym samym momencie i mówiło się „Tak, no przecież koledzy pisali, to ja też musiałem”. To była taka linia obrony, że koledzy napisali albo że koledzy by napisali. Może inaczej było wcześniej, my pracowaliśmy w latach siedemdziesiątych, Polska pożyczyła 20 mld dolarów i musiała się liczyć z opinią zagraniczną znacznie bardziej niż w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych. Oni cały czas chcieli, żeby było takie wrażenie, że ten stan wojenny nie jest taki zły, jakby się wydawało. My byliśmy w dość komfortowej sytuacji.

B.M. – Na pewno końcówka lat sześćdziesiątych, a nawet początek lat siedemdziesiątych były znacznie gorsze. Ty miałeś lepiej, bo pracowałeś tylko w owym późniejszym, „lepszym” okresie...

B.P. – W tych późniejszych latach o wiele dotkliwsze represje dotyczyły ludzi, którzy nie byli chronieni statusem dyplomaty czy korespondenta – studenci, naukowcy byli znacznie bardziej bezbronni, wchodzono w ich życie osobiste.

B.M. – Przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych to, mimo wszystkich utrudnień, dla dziennikarza był okres fantastyczny, dopingujący. W czasie trwania wielkiego strajku w Gdańsku stałem się rajdowcem, bo stamtąd nie mogłem dzwonić do Paryża, linia była zablokowana. Byliśmy tam, spałem tam, wprawdzie nie na styropianie, tylko na łóżku polowym, ciągle rozmawiałem z naprawdę niezwykłymi ludźmi, potem musiałem jechać ile sił do Warszawy, przekazać swój tekst i znowu zaraz do Gdańska na popołudnie. Każdą wiadomość trzeba było nieomalże wykopać. Oficjalne wiadomości to była wata. Trzeba było się spotkać z ludźmi, mieć swoich zaufanych wszędzie, którzy też mieli do człowieka zaufanie. Przypomina mi się też późniejsza, śmieszna historia: robiliśmy takie małe przyjęcia w domu. W 1987 r. był taki koktajl, gdzie był wicepremier Rakowski, ks. Orszulik i inni ludzie z opozycji i z partii, to u nas było normalne. Widziałem w pewnym momencie, że w kącie rozmawiają ks. Orszulik z Rakowskim. Potem mi powiedzieli: „Słuchaj Bernardzie, bardzo ciekawie się nam rozmawia, chcielibyśmy kontynuować, ale

nie możemy tego robić ani tam, ani w Episkopacie, więc czy można do ciebie jeszcze przyjechać kolejny raz? „Dwa miesiące później przyjechali i znów trzy godziny rozmawiali. Pierwszą godzinę z moim udziałem, potem sami. I to się powtórzyło jeszcze raz za miesiąc; a to było kilka miesięcy przed znanymi rozmowami w Wilanowie. O panu Rakowskim mógłbym dużo opowiadać, również w kontekście działań tych służb. Wchodzimy do biura wicepremiera, zawsze wychodził, witał, zapraszał. A tu – siedzi za biurkiem, mówi: „Jestem jeszcze zajęty, muszę coś dokończyć, proszę tutaj usiąść”. Ale daje mi jakiś kawałek papieru. Czytam – sytuacja jest tragiczna, twardego są w natarciu, koło Jaruzelskiego jest nas dziesięciu, a Grabski, Olszowski, Kociotek chcą tego i tego. Sytuacja jest bardzo zła. Siedzę dalej. On podchodzi do mnie: no, to już jestem gotów, to możemy porozmawiać. Odebrał mi ten papier i zaraz go zniszczył. Zobaczyłem, że nie tylko korespondenci, ale i ludzie partii, nawet wicepremier, byli obserwowani i musieli uważać. Na zakończenie powiem, że najtrudniejsza dla zachodniego dziennikarza była zawsze sprawa odpowiedzialności za konsekwencje, jakie z powodu naszych kontaktów mogą grozić tym, z którymi rozmawiamy. To była ciągła presja osobista.

Krzysztof Bobiński – od 1976 r. korespondent „Financial Times” w Warszawie.



Bernard Margueritte – od 1965 r. korespondent „Le Monde” w Warszawie.

Krzysztof Persak – historyk w BEP IPN i ISP PAN, autor przygotowywanej do druku książki *Sprawa Henryka Hollanda*.

